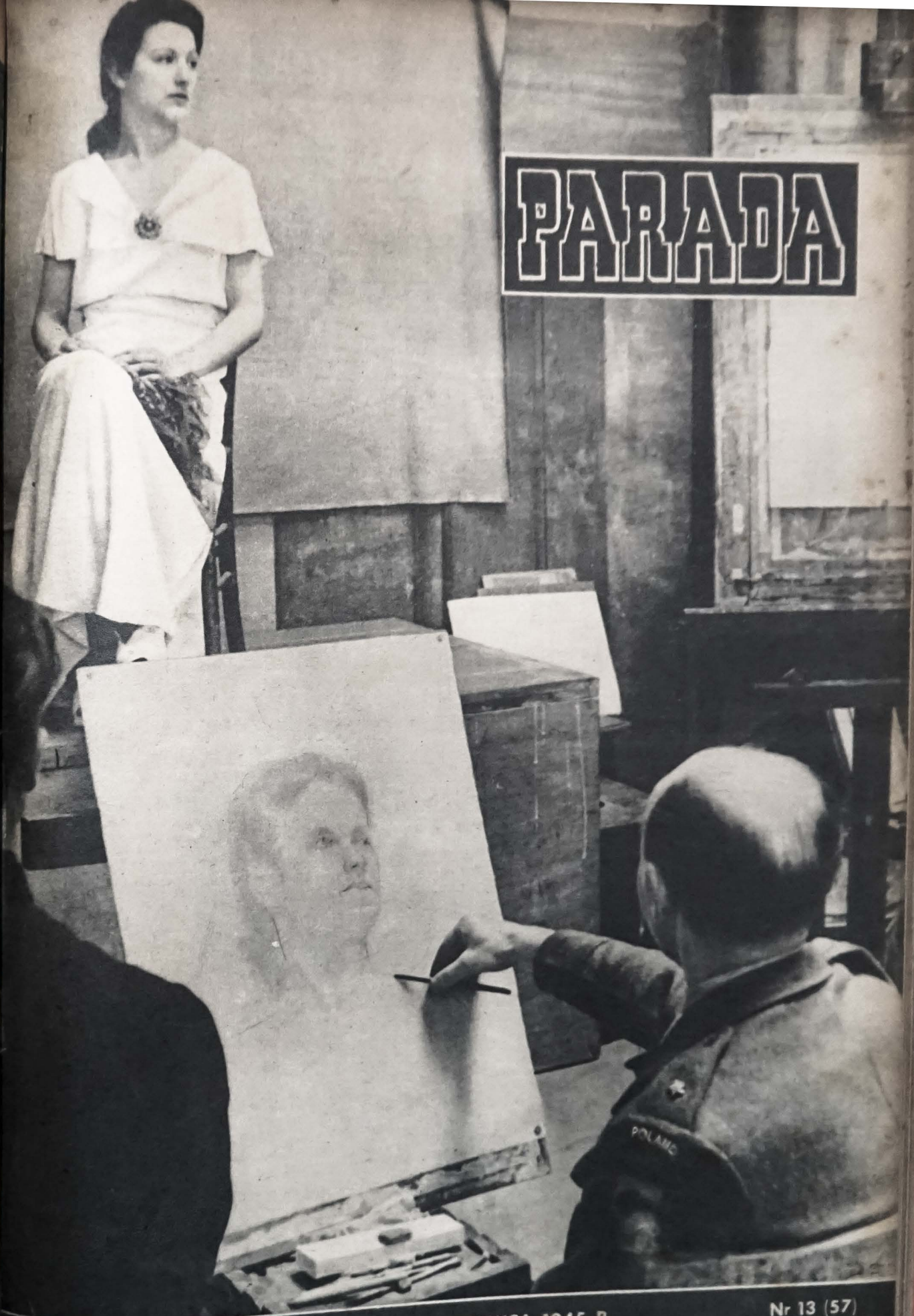




PARADA



ROK III

NIEDZIELA, 17 CZERWCA 1945 R.
SUNDAY, JUNE 17, 1945

Nr 13 (57)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d., w Włoszech 12 lirów



Gromada „Krechowiaków” na koniach

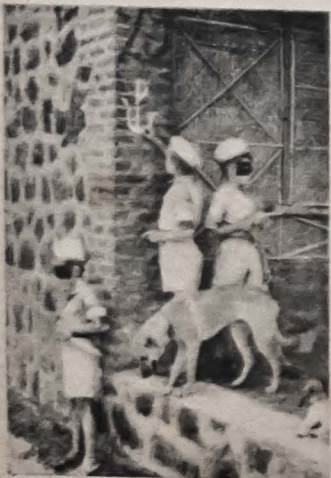


Przygotowanie do akcji...

— Władek, jesteś zuchem pierwszej gwiazdki?
 — Tak, Wodzu!
 — Nie boisz się nikogo i niczego? — pyta dalej Wódz.
 — Nie!
 — Jesteś więc gotów oddać nawet swą krew za Ojczyznę... Jutro, siedem minut przed siódmą, przyjdiesz do rozwalonego domku, koło bramy. Zrób sobie czarną maskę na oczy. Przed drzwiami będzie strażnik, musisz powiedzieć hasło — „dla Polski”, on ci powie, co robić. Nikt o tym nie może wiedzieć. Czuj! Władek!

Siedem minut przed siódmą Wódz siedzi w rogu pokoju: Strażnik z pistoletem (dremnianym) w ręku, pyta wchodzących zuchów o hasło i wskazuje wejście. Są

Znak Armii Krajowej na domu w Valivade

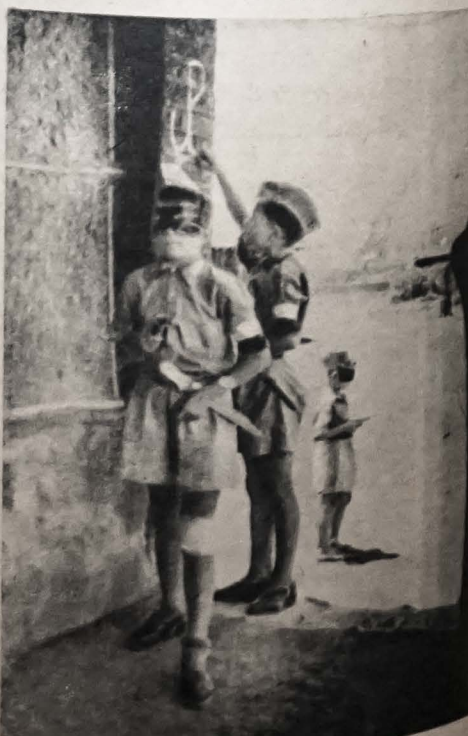


wszyscy. Wódz zaświeca lampkę, okrytą czerwoną bibułką. Zuchy robią krag.
 — Zuchy — mówi Wódz — szósty rok wrogowie panoszą się w Polsce. Wróg chce zniszczyć też nas, zuchów. Chce byśmy się nie sprawowali, nie uczyli się,

Totem gromady „Krechowiaków”



Na straży czuwa warta z drewnianym pistoletem



nie słuchali starszych, nie pomagali sobie wzajemnie, tylko im — wrogom służyli. Ale to im się nie uda! Właśnie, że będziemy się uczyli! Żyli zgodnie i wspólnie wydamy im bój!

Wódz bierze kredę i pisze na murze: „Śmierć wrogom!”

— Zuchy, to będzie nasz okrzyk. A ten znak, ta kotwica — to znak Armii Krajowej, wojska polskiego w Kraju. To będzie także nasz znak. Walka będzie trudna, bo ciągle. Nie tylko na zbiorce, ale ciągle, ciągle, musicie być czujni! Jutro każdy z was zrobi sobie pistolet, na rękojeści wytnie znak Armii Krajowej. Poza tym każdy weźmie kartkę papieru i na górze narysuje ten sam znak. Codziennie wpisze datę i krótko, co w tym dniu zrobił, aby być dzielnym Polakiem. Kartki tej nikt nie może widzieć. Pisać tajnie. Jeżeli ktoś odrobił lekcję, ale tak na bardzo dobrze, niech narysuje książkę obok nasz znak. Ktoś pomógł przynieść obiad, czy wodę — niech narysuje wiadro i nasz znak. Wszystko, co zrobicie dobrego dla swoich rodaków i by być dobrymi Polakami, zawsze przy tym ma być nasz znak. Kartkę mieć zawsze przy sobie, będą oglądał. Od tej chwili imię moje będzie Wódz-Mściciel. Wy zaś dostaniecie imiona, na jakie zasłużyście. A teraz obróćcie się na północny zachód. Tam jest Polska.

„Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród” — zaczyna Wódz. Zuchy w skupieniu śpiwają.

— Następną zbiórka w środę, o godzinie 3,30, w tym samym miejscu — zapowiada Wódz. Kto się nie boi i chce walczyć, niech przyjdzie. Zuchy — wrogom śmierć!

Tak rozpoczęli walkę z wszystkimi wrogami, rozpoczęli naukę dla Polski, zostawiając ślad — natchnienie: znak Armii Krajowej. Tak — poważnie — bawią się najmłodszy w osiedlu polskim Valivade w Indiach.

Gromada „Krechowiaków” skończyła niedawno sprawność „ułana”, teraz gotują się do rocznicy bitwy pod Krechowcami. Wie dobrze, że Krechowiacy byli



Zuch pierwszej gwiazdki

pod Anconą i na wszystkich polach i wiew północnej Italii.

Nieraz się słyszy: „Kiedy będę mógł strzelać z czołgu, tak na prawdę?”. Choć ma tylko 10 lat, doskonale rozumie, że bez krwi i pracy nie ma Polski. Więc — „wrogom śmierć”. Wszystkim wrogom. I do nauki i do książki. Dziwnie poważnie wyglądają dziecięce twarze z tym grymasem uporu. Świełki i Słoneczko, gromady zuchów dziewczynek — mają zawołanie: „siej radość”. Tyle dokoła kłopotów, zdenerwowania, czasem tak ciężko i wtedy jak promyk zjawiają się szczere spojrzenie i uśmiech dziecka.

Wesołe „Wilczki” wiedzą, że batalion „Wilków” w Italii ma ostre zęby, ich tradycje szanują i kochają, bo oni też są wilczkami. Gromada „Serduszka Polskie” przerabia sprawność Kaszubki. Wywiedęby bawią się w Indian czerwono-skórych.

Kilka dni temu zuchy osiedla Valivade przeżyły uroczystą chwilę. Nowa gromada „Warszawiacy” otrzymała „totem” — na długim drzewcu „kolumna Zygmunta” otoczona nadpalonymi konarami.

Głęboki symbol. Znak Armii Krajowej jest również ich znakiem.

Tak bawią się ci „najmłodszy” w Indiach. Harcerstwo swym podejściem daje im możność przeżycia tego, co jest istotą, sensem życia — uporu Polaka.

Zdzisław Peszkowski

Gen. Dyw. T. Bór-Komorowski Naczelnym Wodzem



Naczelnym Wodzem Generał Dywizji T. Bór-Komorowski

Obecnie, gdy odgłosy walki w Europie ucichły, myśli nasze zwracają się ku Polsce takiej, jaką ukochaliśmy, ku Polsce, za którą przelewaliśmy krew, ku Polsce wolnej, niepodległej i demokratycznej.

Do takiej Polski prowadzi nasza droga. Druga to może być prąd nam jeszcze daleka, ale wterzy głęboko, że sprawiedliwość dziejowej stanie się siłą i że utrudzony żołnierz polski nie tylko powróci na łono swej wolnej, nieumniejszonej Ojczyzny, lecz tworząc broń ramię Narodu, stać będzie na wieki na straży Jej niepodległości i granic. W naszych oddzielnych modłach Bogu Wszechmogącemu o to błagamy gorąco.

Żołnierze! Wykonujcie swe obowiązki, wierni ideałom przysięgającym naszej walce, posłuszni rozkazom Prezydenta RP., najwyższego zwierzchnika Sił Zbrojnych oraz prawom Rzeczypospolitej, pomni na nasze sztandary, na których widnieją dewiza: BÓG, HONOR I OJCZYZNA.

Rozkaz Generała Dyw. Władysława Andersa z dnia 28 maja 1945 r.

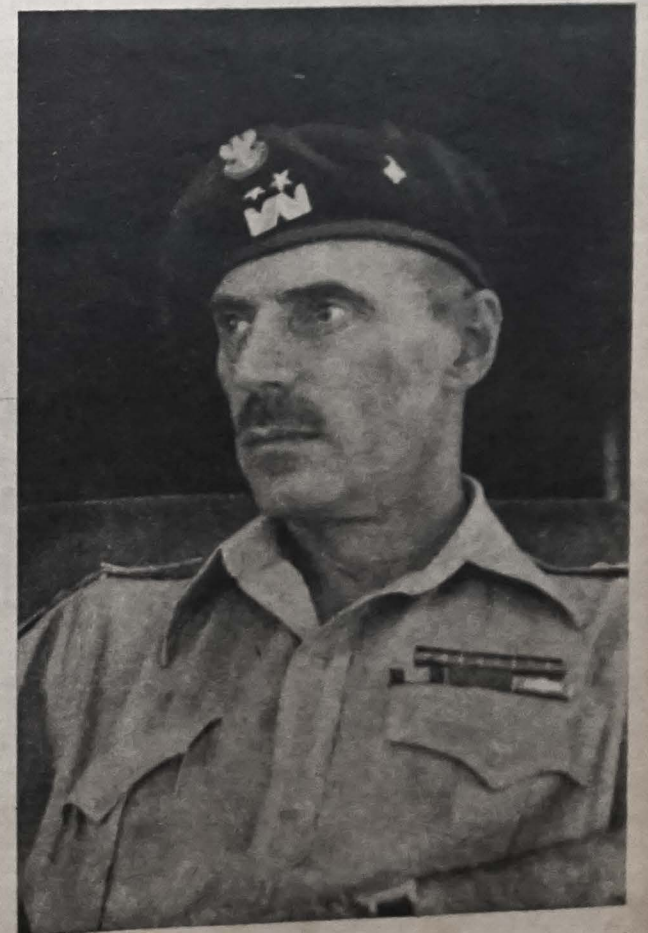
Żołnierze, Marynarze, Lotnicy! Prezydent RP. polecił objąć generałowi dywizji Bór-Komorowskiemu obowiązki dowódcy nad Siłami Zbrojnymi.

Ustępuję ze stanowiska p. o. Naczelnego Wodza, chcąc Wam przesłać słowa podziękowania za zaufanie, jakie okazaliście mi w momencie, gdy sprawa polska tak bardzo została zagrożona. Wyznaję, że byłem dumny z Was, gdy mimo najczarniejszych perspektyw ogólnych i osobistych posłacie w bój z odwiecznym wrogiem z niezlomną wolą zwycięskiego zakończenia zmagania.

Byłem w tej ostatniej bitwie z Wami szczęśliwy, że mogłem patrzeć bezpośrednio na Wasz trud żołnierski i widzieć w Waszych oczach radość z powodu dumnych zwycięstw, w następstwie których zakwitły biały i szkarłatny polski sztandar na ratuszach miast włoskich, holenderskich i niemieckich. A jednocześnie na ziemi niemiecką padły bomby polskich lotników, okręty zaś naszej marynarki wojennej w dalszym ciągu, jak od pierwszego września 1939, uczestniczyły w tych zmaganiach. Dzisiaj odchodzę. Gdyby pola bitwy miały ujrzeć znów żołnierzy polskich, będą wśród Was znów w Waszych szeregach.

Zegniam Was, zwyciężących żołnierzy, marynarzy i lotników z dumą, że Bóg pozwolił mi zakończyć dotychczasowy szlak żołnierza-talca zwyciężącym etapem. Czołem, Koledzy!

Generał Dywizji Władysław Anders



Rozkaz Naczelnego Wodza Generała Dyw. T. Bór-Komorowskiego, z dn. 28 maja 1945 r.

Żołnierze! W dniu dzisiejszym objąłem stanowisko Naczelnego Wodza, na które zostałem powołany dekretem Prezydenta RP. dnia 30 września 1944 r.

Służbę tę rozpoczynam w chwili, gdy wojna z Niemcami została zwycięsko zakończona i gdy część narodów Europy samodzielnego życia i utworzenia harmonijnej niemieckiej przystępuje do odbudowy międzynarodowych. Zwycięstwo nad Niemcami nie przywróciło jeszcze Ojczyźnie naszej niepodległości i wolności. Ten tragiczny układ rzeczy powoduje, że nie ma w chwili obecnej radości wśród Polaków ani tam, w Ojczyźnie, ani tu — na obczyźnie.

Zdaję sobie w pełni sprawę z ciężkości na mnie obowiązków i odpowiedzialności. Tym dobitnie zarysowały się one przede mną, gdy biegłem myślą ku postaciom moich poprzedników, których działania i czyny zapisane są na kartce dobrej zastugi dla Narodu.

Potrąfili oni nie tylko zorganizować Polskie Siły Zbrojne, ale i prowadzić je ku chwale polskiego oręża.

W ciągu pięciu i pół lat Naród Polski zachował niezłomną postawę w nieprzerwanej ani na chwilę walce z najeźdźcą niemieckim, dochowując wiernie przyjaźni naszym brytyjskim i amerykańskim Aliantom. Świat cały wie, że wolność miłujemy ponad wszystko i że nie zawojujemy do spełnienia moich ciężkich obowiązków. W Was, którzy w 1939 r. mężnie i ofiarnie stawaliście czoło przygniatującej przewadze najeźdźców, Ancony i Falaise. W Was nieustraszeni spod Narwiku, Tobruku, Monte Cassino, Ancony i Falaise. W Was nieustraszeni marynarze i lotnicy, którzy walczyli nieprzerwanie od pierwszego września 1939 r. i w Was drodze żołnierze Armii Krajowej, którzy bez należytą honoru, głodni i obdarci umiślicie w walce z Niemcami wysoko dźwierzycie honor Podziemnej Polski Walczącej.

Niezależnie od tego, z jakich formacji się wywodzicie, czy szliście z Polski, czy z polskich środowisk zagranicą, dźlą obowiązkiem Was wszystkich, żołnierzy, jest tworzyć zwartą i nierozdzielalną całość w oparciu o legalny Polski. Tego wymaga od Was powaga sytuacji, tego oczekuje od Was Naród i polski. Im trudniejsze dla Was nadchodzi czasy, tym więcej hartu, zwartości i wewnętrznej poczucie rzetelnie spełnionego obowiązku względem Narodu i Ojczyzny. Przed tymi, którzy spełniając swój żołnierski obowiązek, złożyli życie w ofierze, często nieznanymi bohaterami i bohaterkami, chyliłmy nasze czoła.

GENERAL BÓR-KOMOROWSKI O POWSTANIU WARSZAWSKIM

KORESPONDENCA WLASNA „PARADY”

O powstaniu warszawskim pisano i mówiono wiele i rozmaicie. Relacje o jego genezie, przebiegu i likwidacji nie zawsze były ze sobą zgodne. Wiele szczegółów pozostało do dziś dnia nie wyjaśnionych.

Od dwóch godzin siedzę napiętko generała Bór-Komorowskiego i słucham jego opowiadania. Przepłatom czasem tę opowieść pytaniami, na które otrzymuję zawsze odpowiedzi. Dowódca Armii Krajowej i warszawskiego powstania, ten, którego nazwisko powtarzały dzień w dzień, przez dwa miesiące, dzienniki całego świata, opowiada o bohaterstwach i tragicznych zmaganiach stolicy Polski z dziesięciokrotną przewagą niemiecką. Generał Bór zaczyna od rzeczy, która szczególnie nam leży na sercu. Tymczasem słęczego bitwa warszawska została w ogóle rozpoczęta i dlatego wybrano na nią taki, a nie inny moment.

— Bitwy — mówi generał Bór — żądał cały naród, domagały się jej stronictwa polityczne. Gdyby nam dała rozpocząca, powstanie wybuchłoby samorzutnie i przerodziłoby się w szereg nieskoordynowanych, dzikich akcji zbrojnych, niemożliwych do opanowania i nie mających żadnych realnych szans sukcesu.

Data wybuchu została nam narzucona przez wypadki. Nie można jej było opóźnić, nawet o parę dni, z powodów czysto wojskowych. Mogliśmy rozpocząć jedynie wówczas, gdy front przebiegał poza Warszawę. Gdyby stolica znalazła się na samej linii frontu niemiecko-sowieckiego, o wybuchu powstania nie byłoby co marzyć, gdyż mielibyśmy wtedy w Warszawie dziesiątki tysięcy niemieckich żołnierzy, czołgi i artylerię w wielkiej sile. Rozpoczęliśmy w chwili, gdy linia frontu zbliżyła się do Warszawy na bardzo niewielką odległość. Byliśmy pewni, że wojska rosyjskie wejdą do miasta po pięciu, sześciu dniach. Nie tylko mi zresztą tak kalkulowaliśmy. 9 sierpnia 1944 Stalin oświadczył premierowi Mikojałczukowi, że podług sowieckich obliczeń, armia czerwona miała zająć Warszawę 6 sierpnia. Obliczenia nasze zgadzały się więc ze sobą niemal zupełnie.

Wiedzieliśmy nadto, że Niemcy czynią orientację w naszych przygotowaniach. Zaostrzyli godzinę policyjną, wzmocnili posterunki, budowali umocnienia. Władze okupacyjne rozplakowały pobór, na pracę do Niemiec, 100 tysięcy mieszkańców Warszawy, mężczyzn i kobiet. Każdy dzień zwłoki w rozpoczęciu powstania mógł więc zniweczyć jego szanse sukcesu.

Przed wybuchem zaszło wypadek, który mógł pokrzyżować nasze plany. Dowództwo polskie znajdowało się w tym okresie na Woli, w fabryce mebli Kamlera, niedaleko ghetta i cmentarzy. Po wążkowskiego i Ewangelickiego. Do tej fabryki wiodły dwie bramy, z dwóch równoległych ulic. W tym samym budynku mieściła się fabryka odzieży. Niedaleko, w dwóch bramach, Niemcy zbudowali dwa bunkry. Tuż obok, w magazynie Monopolu Tytoniowego, stała nieliczna załoga niemiecka.

W dniu rozpoczęcia powstania, przed samym jego wybuchem, przybyć mieli do fabryki Kamlera: Delegat Rządu na Kraj, wicepremier Jankowski i prezes Rady Narodowej, Pużak. Spotkanie to zwołane zostało na godz. 15.30. Nieco później przybyć miała do fabryki Kamlera „osłona”, której zadaniem było opanowanie przyległego magazynu tytoniowego, i później, pełnienie strażnicy. Sam powstanie wybuchnąć miało o godzinie 17.

Nagle, przed godz. 16, przed fabrykę zjechała wojskowa ciężarówka niemiecka z kilku członkami niemieckiej straży kolejowej. Przybyli oni celem odebrania płaszczy ze znajdującej się w tym samym budynku fabryki odzieży. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności zrzucił, że w chwili, kiedy ciężarówka znajdowała się na podwórzu, wyszedł nagle jeden z naszych członków załogi fabrycznej, z karabinem w ręku. Niemcy zaczęli do niego strzelać. Wówczas pojawił się właściciel fabryki,

Kamler i kilku innych członków załogi i ostrzelali Niemców. Po chwili trzech Niemców było zabitych, a reszta uciekła, stawiając na nogi sąsiednie posterunki niemieckie. Nieprzyjaciel natychmiast obsadził bunkry i otworzył ogień na fabrykę Kamlera. Niemcy wprowadzili do akcji cekaemy. Obsada fabryki odpowiedziała ogniem i granatami ręcznymi. Jednym celnym rzutem granatu rozbito km i zlikwidowano jego obsługę. Osłona polska, której przybycia oczekiwaliśmy przed godz. 17, nadeszła wprawdzie, ale początkowo nie mogła się przebić. Walki trwały do wieczora i kiedy zakończyły się, powstanie warszawskie było już w pełnym rozwoju. Zlikwidowano niemieckie bunkry i zdobyto magazyn tytoniowy, przy czym okazało się, że w ostatniej chwili Niemcy wzmocnili jego obsadę do 50 ludzi i 2 karabinów maszynowych. O godz. 21 byliśmy już panami sytuacji.

Pytam generała Bora, jakie były dalsze losy Dowództwa.

— W fabryce Kamlera — odpowiada — przebywaliśmy przez pierwszych siedem dni powstania. Potem, ponieważ Niemcy posuwali się naprzód i linia bojowa doszła już niemal do samej fabryki, Dowództwo przeniosło się na Stare Miasto i ulokowało w wielkim nowym budynku szkolnym, niedaleko pałacu Kraszińskich. Powędrowaliśmy tam przez ghetto. Postój w tej szkole trwał znowu tylko siedem dni, gdyż linia bojowa znów się zbliżyła i żołnierze nasi obsadzili już nawet budynek szkolny, jako jedną z pozycji. Wówczas Dowództwo jeszcze raz przesunęło się, do jednego z gmachów Ministerstwa Sprawiedliwości. Tam pozostawaliśmy przez cały czas pod ciężkim ogniem nieprzyjaciela. Gdy wprowadzaliśmy się tam, budynek ten miał pięć piętér, kiedy go opuściliśmy, był jednopiętrowy. Cztery piętéra zburzone zostały przez pociski i bomby.

Następny etap był bardzo ciężki. Z Ministerstwa Sprawiedliwości na nowe m. p. przedostać się trzeba było kanałami ściekowymi. Szliśmy przez pięć godzin, schyleni, po pierś w cuchnącym płynie i mazi, w zupełnych ciemnościach. Było z nami około 50 osób. Kobiety i co słabsi mężczyźni przewracali się i trzeba było ich wyciągać, gdyż inaczej utonąłby. Prąd przewracał ludzi. Najazł, tymi samymi kanałami przeszło około 2000 osób. Wiele utonąło.

Umieściliśmy się w podziemiach nowego gmachu PKO, przy zbiegu ulic Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. I tam jednak nie można było pozostać dłużej, niż tydzień. Któregoś dnia niemiecka bomba spadła w otwór windy, dostała się do naszych podziemi i tam wybuchła. Mielśmy około 30 zabitych, a gen. Pełczyński został ciężko ranny. Zginęła jedna z łączniczek moich, Basia. Całą jej rodzinę wymordowało Gestapo.

Ostatnim m. p. Dowództwa był nowy gmach PAST-y. Pozostaliśmy tam do końca powstania.

— Ilu ludzi miał pan generał w swym ścisłym sztabie i kwatery głównej?

— Około 30 osób, w tym sześć kobiet, łączniczek i maszynistek. Kobiety te, jak zresztą wszystkie niewiasty, które brały udział w powstaniu, spisały się niezwykle dzielnie. Ogółem w powstaniu wzięło udział około siedem tysięcy kobiet. Wiele z nich zginęło. Oddały one ogromne usługi naszej sprawie.

— Jak Dowództwo utrzymywało łączność z linią i światem zewnętrznym?

— Z linią wyłącznie za pomocą łączniczek. Komunikacji telefonicznej nie mieliśmy żadnej. Łączność ze światem zewnętrznym utrzymywana była przez radiostacje kwarcowe, których posiadaliśmy około dwudziestu, z czego trzy przy Dowództwie. Większość tych radiostacji została rozbita, lub uszkodzona przez ogień i bomby niemieckie.

— Jak przedstawiał się kontakt z armią czerwoną i jak wyglądała sprawa pomocy tej armii dla powstania?

— Już na jakiś czas przed wybuchem powstania — odpowiada gen. Bór — przebywał w Warszawie sowiecki kapitan Kaługin. Rola jego nie była właściwie zupełnie jasna. Był on najprawdopodobniej oficerem wywiadu, nie miał jednak żadnych specjalnych pełnomocnictw, ani od marsz. Rokossowskiego, ani od gen. Berlinga. W czasie powstania komunikował się ze mną i z niektórymi dowódcami naszymi, m. in. z gen. Monterem. Gdy wybuchło powstanie, kpt. Kaługin zaczął nadawać depesze o sytuacji i o nastrojach w Warszawie, przy czym niejednokrotnie prosił o energiczną interwencję armii marsz. Rokossowskiego. Wtem również, że wysyłał raporty do Stalina, m. in. przez naszą radiostację. Próbowaliśmy nawiązać kontakt Armii Krajowej z armią czerwoną. Wszystkie jego usiłowania spełżyły jednak na niczym. Nigdy nie nadeszła żadna odpowiedź i kontakt nie został nawiązany.

W drugiej połowie września, gdy sytuacja była już bardzo ciężka, kpt. Kaługin przedostał się na prawy brzeg Wisły, do wojsk Berlinga, i najprawdopodobniej jego interwencji przypisać należy sowieckie zrzuć amunicji i żywności. Zrzuć te przyniosły nam jednak bardzo nie wielką pomoc efektywną. Dokonywane one były wprawdzie w nocy i z nie wielkiej wysokości (samoloty sowieckie przelatwały niemal nad samymi dachami domów), lecz początkowo zrzucano nam trochę broni i amunicji sowieckiej, której nie mogliśmy wcale używać, a potem gdy zaczęto zrzucić niemiecką, zrzuć te, zarówno jak zrzuć żywności, dokonywane były bez spadochronów, wskutek czego znaczna ich część ulegała zniszczeniu.

Ja sam również próbowałem nawiązać kontakt radiowy z marsz. Rokossowskim. Jednak poza kilku ściśle technicznymi informacjami co do zrzuć, nic od niego nigdy nie otrzymałem w odpowiedzi.

Prócz Kaługiny pojawiła się raz w Warszawie inna grupa oficerów sowieckich. Wyglądali oni przy ul. Wspólnej i najstarszy rangą, kapitan artylerii, oświadczył nam, że są przysłani przez marsz. Rokossowskiego. Papierów nie mieli, oczywiście, żadnych i trudno było wyjaśnić ich właściwy charakter, lub też stwierdzić jakieś realne skutki ich misji.

Pytam generała Bora o zrzuć sojusznicy.

— Zrzuć brytyjskie, w których tak wybitny udział brało lotnictwo polskie, były, niestety, krwawo okupione, lecz przyniosły nam wielką otuchę i niejaką pomoc. Wrzesniowe zrzuć amerykańskie, dokonane w biały dzień, były bardzo efektowne i miały nader korzystny wpływ na morale naszych wojsk i ludności. Ich efekt praktyczny był jednak również dość ograniczony. Jak wiadomo, rokowania amerykańsko-sowieckie o uzyskanie prawa lądowania na terytorium sowieckim pomoc Warszawie, trwały niepomiernie długo, i gdy Sowiety udzieliły wreszcie tego zezwolenia, obszar stolicy, zajęty przez Armie Krajową, skurczył się już ogromnie. Wskutek tego znaczna część zrzuć spadała na obszary zajęte przez Niemców. Poza tym zrzuć te dokonywane były z bardzo znacznej wysokości (około 3 tysięcy metrów). Potrzebowały nierzaz po 20–30 minut na lądowanie i wiele z nich zostało zestrzelonych przez Niemców.

Pytam generała o członków Rządu Krajowego, aresztowanych obecnie przez Rosjan.

— Wszystkich piętnastu aresztowanych — stwierdza generał Bór — znam dobrze i od dawna. Są to ludzie głęboko uczciwi, wielcy patrioci, przywódcy wszystkich demokratycznych stronnictw polskich.

Pytam jeszcze generała Bora, czy były ze strony niemieckiej próby zjednania jego samego i Armii Krajowej dla akcji przeciwsowieckiej.

— Już w czasie konspiracji — odpowiada generał — Niemcy usiłowali wszelkimi sposobami nawiązać kontakt i roz-

mowy z Dowództwem Armii Krajowej. Proponowali mi kilkakrotnie spotkanie w neutralnym miejscu, sugerowali nawet, byśmy przybyli tam w maskach, co uniemożliwiłoby rozpoznanie naszych stanników, gwarantowali całkowite bezpieczeństwo. Wszystkie propozycje tego rodzaju, odrzuciłem kategorycznie.

Przy omawianiu warunków kapitulacji Warszawy, generał SS Obergruppenführer von dem Bach, który dowodził wojskami niemieckimi, walczącymi w Warszawie, zaproponował, że zaprosi mnie na śniadanie, wspólnie z wybitnym niemieckim osobistością wojskową i politycznymi, „celem omówienia ewentualnej współpracy”. Odpowiedziałem, że w śniadaniu takim udziału nie wezmę.

Gdy pojechałem do generała von dem Bach, by omówić ostateczne warunki kapitulacji, zaproponował mi on znowu wspólną walkę przeciw „największemu wrogowi bolszewikom”. Odmówiłem, raz jeszcze i oświadczyłem mu wprost, że zaczęliśmy wojnę przeciw Niemcom w dniu 1 września 1939 r., że nadal ją prowadzimy i że uznamy ją za skończoną dopiero wówczas, gdy Niemcy będą ostatecznie pobici. Wtedy von dem Bach przesunął rozmowę na inny płaszczyznę. Zapytał, czy nie byłoby możliwe ciche porozumienie, polegające na milczącym zawieszeniu broni, przy czym Armia Krajowa pozostawiałaby w spokoju Niemców, oni zaś nie ruszalbys Armii Krajowej. O umowie takiej nie wiedziałby nikt na zewnątrz. Odmówiłem znowu.

Kiedy przybyliśmy do Prus Wschodnich i umieszczono nas tam w obozie wyszkoleniowym SS, zjawił się znowu gen. von dem Bach i oświadczył mi, że nazajutrz lub za dwa dni spotkam się z Hitlerem i Himmlerem. Zaznaczył jednak, że naprzód strona niemiecka musi wiedzieć, czy kapitulacja Armii Krajowej obejmuje tylko załogę Warszawy, czy też całą armię, jako taką. Odparłem, że oczywiście tylko Warszawę. Odpowiedź ta uznana została, widocznie, za niezadowolającą, gdyż zapowiedziane spotkanie z Hitlerem i Himmlerem nie doszło do skutku.

Po przewiezieniu nas do Langwasser, pod Monachium, przybyło do mnie pewnego dnia dwóch cywilnych panów, którzy przedstawili się jako wysłannicy Himmlera i ponowili raz jeszcze uprzednio propozycje wspólnej walki przeciw bolszewizmowi. Oczywiście, nie zmieniłem mego stanowiska. Wówczas Niemcy uznali widocznie dalsze rozmowy ze mną za beznadziejne, gdyż przez dłuższy czas dawano mi spokój. Dopiero w kwietniu br. zjawił się niejaki p. Benninghaus z byłego Towarzystwa Polsko-Niemieckiego. Nie ujawnił on, w czym imięnia go, jak również wszyscy ci oficerowie Armii Krajowej, których wskazał. Mówił mi w humorystyczny sposób: „Mógłbym zostać drugim Piłsudskim”, rzekł mi m. in. Gdy odmówiłem, po paru dniach wywieziono nas i rozpoczęła się nasza wędrówka po obozach.

Kończąc rozmowę generał Bór-Komorowski składa hołd prasie podziemnej.

— Przed wojną — oświadcza — nie orientowałem się zbyt dobrze w tajnikach pracy dziennikarskiej. Podczas pięciu lat ubiegłych poznałem jednak tę dziedzinę praktycy i nauczyłem się ją cenić. Obserwowałem z bliska prasę podziemną, bywałem w bliskim kontakcie i widziałem jej robotę. Odwiedzałem drukarnie, w których obok maszyn leżały rewolwery, a obok materiału cecerskiego — graty, a obok pracy oplacić mogli i często oplatili życiem. Byli oni jak żołnierze w pierwszej linii. Ich zasługi dla Sprawy są olbrzymie.

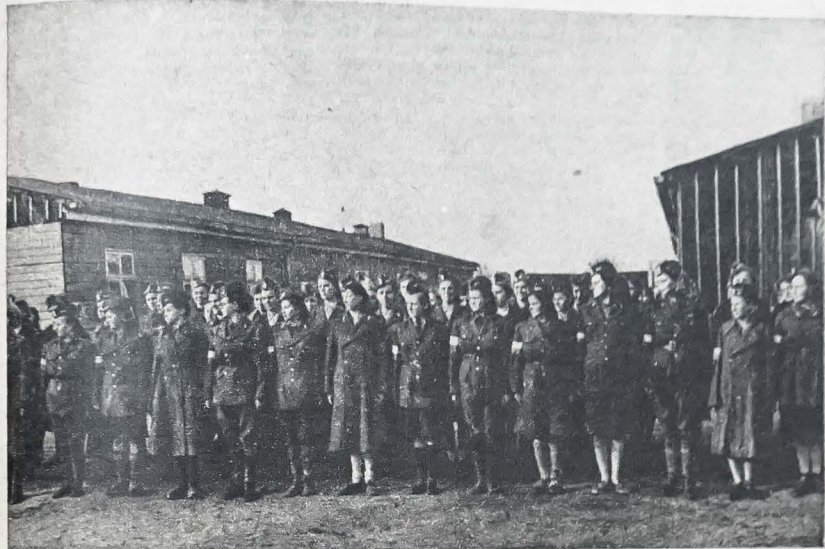
Na tym zakończyła się rozmowa z generałem Bór-Komorowskim i opowiedziałem o warszawskim powstaniu.

ROMAN FAJANS



W uwolnionym obozie Polek-żołnierzy

Pierwsza Polska Dywizja Pancerna, wypierając Niemców z Holandii, uwolniła w Oberlangen obóz Polek-żołnierzy Armii Krajowej, uczestniczek powstania warszawskiego. W obozie przebywało 1728 kobiet i dziewcząt-żołnierzy, ponadto 40 kobiet cywilnych, również wywiezionych z Polski. Wiele z uwolnionych Polek jest jeszcze rannych, są także inwalidki bez nóg. Postawa wszystkich jest wspaniała, mimo trudów wielu lat okupacji, dwumiesięcznej walki o wolność Warszawy, mimo, że decydując się na walkę, opuściły najbliższych, że poświęciły wiele, a często — wszystko. Dzisiaj nad obozem Oberlangen, z którego zamieszczaamy tu zdjęcie, powiewa sztandar polski. Sztandar wolności.





Dwaj panowie „H”

„Jestem Heinrich Himmler”

Z każdym dniem zwiększa się „zwierzęstwo” hitlerowski, notowany przez władze sojusznicze, rośnie ciągle lista przywódców Trzeciej Rzeszy i najwybitniejszych hitlerowców, oddających się w niewolę, wytapianych, lub popełniających samobójstwo. Do swej porażki, największej w dziejach Niemiec klęski, do tej świadomości jaka musi się wreszcie ugruntować w ich historii, że nie umieją wygrać wojny, dorzucają jeszcze jedno: nie umieją — przegrzać.

Herman Goering, bożyszcze Niemców, oddał się Amerykanom w niewolę komicznie, bez najmniejszej godności. Pospiesznie nazwał Hitlera „tepakiem” oraz „ignorantem”, a Ribbentropa „tjadakiem”, i wyparł się obozów koncentracyjnych, o których jakoby sądził, że są wymysłem „propagandy zagranicznej”.

Robert Ley, wódz Frontu Pracy, producent sześciu milionów „samochodów ludowych”, które choć nie wyprodukowane, zostały sprzedane robotnikom niemieckim, szef białych niewolników ściganych do Rzeszy na roboty, dostał się w ręce Amerykanów, w niebieskiej piżamie, jako „dr Ernst Distelmeyer”.

Dr Alfred Rosenberg, wyciągnięty z łóżka szpitalnego, w którym się ukrywał w pobliżu Flensburga.

Ernst Kaltenbrunner, generała policji, głośnego specjalistę w masowym mordowaniu gazem, nakryto w Tyrolu. Paul Schmidt, szef prasowy niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, ukrywał się w Salzburgu, mieszkając w jednym hotelu z oficerami amerykańskimi. Nie udało się — poszedł pod kład. Równie spokojnie i bez wielkich trudności wytapiani zostali — Arthur Seyss-Inquart, który aneksję Austrii przygotował, Franz von Epp, oraz Sepp Dietrich, jeden z najpierwszych zabijaków Hitlera. Wielkorządzący Wielkopolski i Pomorza, Greiser i Forster, nawet nie usłowiali się ukrywać, mimo swej ponurej i krwawej na ziemiach polskich przeszłości. Największy kat Polski, gubernator Hans Frank wpadł w ręce wojsk amerykańskich, potem próbował poderżnąć sobie żyły — bez wyniku. Większe zdecydowanie okazali, popełniając samobójstwo i śmierć przekładając nad niewolę — Josef Goebbels z rodziną, Konrad Henlein, wódz partii w Sudetach, Josef Terboven, rządcą w Norwegii, oraz Edward Waister, komendant obozu w Dachau.

Samobójstwo popełnił także sam Himmler, jednak dopiero pod przymusem sytuacji, po aresztowaniu go przez władze sojusznicze. Przytoczona tu lista jest tylko przykładowa — dla postawy tych

przywódców niemieckich, którzy sobie i narodowi przysięgli walkę do ostatka, na śmierć i życie, jest również symboliczna dla obecnej postawy narodu niemieckiego.

Twórca terroru niemieckiego, człowiek, który w ciągu lat trząsał całą niemal Europą, nie nauczył się niczego od tropionych przez siebie ruchów podziemnych: przegrał swe pierwsze nielegalne spotkanie — z dwoma żołnierzami angielskimi, nie wytrzymał krótkiej rozmowy śledczej. Słowa „Ich bin Heinrich Himmler” będąc zeznaniem tożsamości, były również wyznaniem klęski. Klęski reżimu hitlerowskiego, Gestapo, klęski Niemca.

W chaosie Niemiec rozbitych, podzielonych okupacjami i przepelnionych tysiącami wędrujących ludzi, Himmler nie umiał sobie poradzić. I co ważniejsze: nie organizował oporu dalszego, podziemnego, nie przygotowywał go, nie chciał być dalej — Himmlerem. Chciał uciekać — nie umiał.

A imi? Bez oporu oddają się do niewoli, chociaż muszą się spodziewać groźnej kary, nieudolnie się ukrywają, lub popełniają samobójstwo. W każdym razie nie myślą wcale o walce, którą Goebbels tak straszyl świat, o walce podziemnej.

Niewątpliwie zaczęli się w Niemczech, czy nawet już się rozpoczęła, jakaś konspiracja przeciw okupantom, podsycona elementem zwalnym stopniowo z niewoli, a kierowana przez tych fanatyków, którzy jeszcze nie zostali wytapiani.

Ale jest również pewne, że przygotowani do roli „panów”. Niemcy nie mają żadnych zdolności, ani chęci i przygotowania do zorganizowanej walki podziemnej, do walki nielegalnej, która wymaga nieustannej ofiary i użycia wszystkich środków i która — co na umyślność niemiecką działa szczególnie ujem-

nie — opiera się na dysproporcji między materialną słabością konspiracji a silną zwalczającą władzą. Niemcy nie wystawili nigdy kosynierów przeciw artylerii, nie oprą się też nigdy na takim stosunku sił w ruchu podziemnym nieuniknionym.

Niemiec nie znosi również buntu, oporniej, bardziej krytykowanej. Postulatem władzy jest silniejsze, niż dążenia do środka, nawet najlepiej uzasadnionych. Niemcy nie znają nigdy prawdziwej woli: nie były nigdy zaburzenia roku 1848, ani kierowane załamanie się Rzeszy Hohenzollernowskiej. Rewolucja, którą także dojdzie do władzy Hitlera, który mianowany został kanclerzem Niemcy, a za którym poszły później miliony Niemców, nie zawsze z przelobienia, a zawsze z poszanowania władzy z posłuszeństwem. „Gehorsam... Gehorsam...” ryczał kiedyś i żądał Hitler w mowie berlińskiej. Niemcy dotrzymali mu posłuszeństwa do końca, do końca mitu o zwycięstwie. Dotrzymają i teraz, jak wyłaniać się będzie z niemieckiej okupacji. Dotrzymają na pewno, ale z tą samą pewnością pójdą za innym kursem, choćby znowu głosił wojnę i jeszcze jeden odwet, pójdą nawet za wyłanianiem się z legendy Hitlerem. Pójdą za władzą, z władzą legalną, i jedynie na takiej drodze, zorganizować się będzie opór Niemców przeciw kapitulacji, jakiego dzisiaj sami podpisali.

Ludność Niemiec łasi się obecnie i czapkuje zwycięzcom. Niemal wszyscy odwrócili się od niedawnych bogów, jedynie ze świadomości własnej niemocy, a cudzej siły i władzy. Walka podziemna nie leży w ich charakterze, w ich braku charakteru. Kapitulacja Himmlera przy pierwszej próbie podjęcia na „zieleno” jest tego symbolem.

TADEUSZ PNIIEWSKI



Goering w niewoli. Pierwsze wielkie rozczarowanie: musi zdjąć odznaczenia

Robert Ley, sroganki wódz frontu pracy



Mieszkańcy Monachium ciągną z towarami, jakie zabraли z ograbionych sklepów



Polacy z Niemiec przybywają do 2 Korpusu

KOESPONDENCJA WŁASNA „PARADY” — JANUSZ WEDOW

Do 2 Korpusu Polskiego napływają coraz liczniejsze transporty ludności polskiej, którą wojna, okupacja Kraju i deportacje na przymusowe roboty rozrzuciły po całej Europie.

Oprócz transportów z tymi Polakami, którzy przymusowo byli w szeregach Wehrmachtu i znajdowali się w armii niemieckiej we Włoszech, — zaczęli przybywać także i ci, których wywieziono z Polski na roboty przymusowe i zatrudniono przy budowie umocnień, dróg, linii kolejowych, czy w fabrykach północnych Włoch.

Kiedy runęła cała Trzecia Rzesza i armie niemieckie skapitulowały, tysiące Polaków wywiezionych do Niemiec, czy Austrii, odzyskało wolność. Ci, których koniec wojny zastał na południu, wszystkimi sposobami starali się dotrzeć do Włoch, do 2 Korpusu. Większość wśród nich stanowią młodzi ludzie, których pierwszą myślą było wstąpienie w szeregi armii polskiej.

Z południowych Niemiec, Bawarii, Austrii, przez Alpy i przełęcz Brenneru, nawet z Jugosławii, wszystkimi sposobami północnych Włoch spływają teraz codziennie do Korpusu transporty Polaków. Ewakuacją tych ludzi kieruje wojsko. Oficerowie łącznikowi mają swoje placówki we wszystkich większych miastach północnych Włoch i napływającą tam ludność polską kierują do obozów przejściowych. Polskie samochody wojskowe, wysyłane na północ, przywożą ich codziennie do punktu przesyłkowego. Na każdym samochodzie zatknięta jest biało-czerwona flaga. W klapie marynarki cywilnej, czy na kołnierzu niemieckiego munduru widnieją biało-czerwona wstążeczka. Wstążeczki te pomagają im niejednokrotnie podczas drogi do Włoch, ułatwiają transport amerykańskimi, czy brytyjskimi wozami, często też żołnierz angielski, czy amerykański na widok tej wstążeczki dzielił się z jej właścicielem swoją racją żywnościową, lub oddawał mu papierosy, zapalaki i czekoladę.

Trudno jest doprawdy opisać tę radość i wrażenia, jakie grają na twarzach tych ludzi w chwili, gdy przyjeżdżają do Korpusu, kiedy spotykają się po tylu latach z oddziałami wojska polskiego. Radość ze spotkania przebiega nie tylko w oczach, w twarzach, w uśmiechu, znać ją w szybkich, pomieszanych pytaaniach, w spojrzeniu, jakim patrzą na polskie mundury i w mocnym uścisku, jaki oddają wyciągniętej na powitanie dłoni.

Z krótkich rozmów, w których chcieli by zamknąć wszystko i wszystko wypożyczyć, wychodzą ostatnie lata najcięższych przeżyć, tułaczki, upokorzeń i cierpień. Obozy koncentracyjne, deportacje, łapanki, potworne sceny mordowania najbliższych. Wiele, jakże wiele twarzy jest wymierzonych, przedwcześnie postarzałych, ze śladami ciężkich przeżyć, twarzy o rysach ostrych, twardej, skulonych. Kiedy wspominają przeszłość, kiedy mówią o dniach grozy, na które jednak starczyło im siły, by je przeżyć — w samych oczach można wyczytać prawdę słów i zrozumieć, że to, o czym się słyszało tylko i czytało i w co — bądźmy szczerzy — czasami się wątpiło, było jednak straszliwą, potworną rzeczywistością ostatnich lat.

Po przyjeździe do Korpusu są jeszcze oszołomieni natłokiem wrażeń, nagłością zmiany i widokiem polskich osetków. Ale przeważa w nich radość. Prawdziwa, otwarta, wielka radość.

— Co tam było, to było — mówi wielu. — Najgorsze już za nami. Grunt, że jesteśmy już razem z wami i że razem wrócimy do Polski.

Obrzymia większość z nich nie wyobraża sobie zresztą innego powrotu do Polski, jak tylko w mundurze żołnierza polskiego, w szeregach armii, do której garną się od pierwszego dnia przybycia na teren Korpusu. Bo przeważa wśród nich młodzież, której nie potrafiły złać tragiczne lata okupacji, ciężkie warunki życia, ciągła niepewność jutra, terror i zbrodnicza ręka najeźdźcy. Przeszli przez to piekło, jak żołnierz przechodzi przez trudy i niebezpieczeństwa walki, wyszli z niego jako ludzie zupełnie dojrzały, hartowni i mocni. To będzie naprawdę dobry żołnierz!

Wśród tego tłumy Polaków, który stanowią przekrój wszystkich warstw społecznych i pochodzi prawie z całej Polski — spotkać można i młodych żołnierzy Armii Krajowej, którzy brali udział w powstaniu warszawskim. Są pośród nich



Tak żyli przez lat pięć...

i 16-letni chłopcy, którzy niespotykanym sprytem i zuchwałymi przedsięwzięciami zdolali wyostać się z Pruszkowa i przedostać się po tysiącach przegód do północnych Włoch, a wreszcie do Korpusu. Są to pierwsi żołnierze Armii Krajowej, z którymi zetknął się osobiście żołnierz 2 Korpusu Polskiego, z ust których usłyszał całą wstrząsającą prawdę, całą tragedię i bohaterstwo powstania, choć opowiadano mu o tym bardzo powściągliwie, skromnie i rzeczowo.

Nie brak też i kobiet. Kilka dni temu przybyły w grupie kilku kobiet polskich dwie młode sanitariuszki z Armii Krajowej. Pani Krystyna M. — żona lekarza — pomagała swemu mężowi w niezwykle trudnej, jak na tamte warunki, pracy na punktach opatrunkowych na ulicach płocznymi Warszawą. Druga, młodzieńca, siedząca do jednego z oddziałów, który walczył w śródmieściu.

Do tej pory przybyło do Korpusu kilkadziesiąt kobiet polskich, z których większość wywieziona była przez Niemców na roboty przymusowe. Przez Auców na roboty przymusowe. Przez Auców i Brenner przedostały się na własną rękę do Włoch i dzisiaj znajdują się w specjalnym obozie kobiecym, gdzie mają zapewnioną wszelką opiekę ze strony władz wojskowych. Obóz znajduje się pod zarządem PSK, a komendantka jego czyni wszelkie starania, by zapewnić przybywającym Polkom możliwie najlepsze warunki, w których mogłyby odlepieć zęby, odkarmić się, nabrać sił i otrząsnąć się z fizycznego i psychicznego wyczerpania, jakie spowodowały ostatnie ich ciężkie przeżycia.

Obozów męskich jest już kilka, a stan liczebny każdego z nich powiększa się z dnia na dzień. Są dni, w których przydają transporty liczące po kilkaset ludzi. Obozy te urządzone są na wzór wszystkich obozów wojskowych, każdy z nich wyposażony jest w namioty, łazienki, kuchnie, dezynfekatory, kabinę i planię polową, przybywający Polacy otrzymują najświetsze gazety i czasopisma, mają najwspanialsze doświadczenia do tygodnika i ilustracje, które nadsyłają do obozów wszystkie oddziały 2 Korpusu, a obozów wszystkich oddano już do w niektórych obozach oddano już do ich dyspozycji specjalne biblioteki.

Wyżywienie nie różni się prawie niczym od tego, jakie otrzymuje każdy żołnierz, a ponadto cały Korpus oddał 20 proc. swego przydziału papierosów i niektórych produktów na rzecz ludności i niektórych przybywających do Korpusu. Wielu żołnierzy przybywających już tutaj swoich najbliższych lub rodziny, wielu odnalazło znajomych, od których dowiedzieli się, że jeszcze na miejscu, że wszyscy byli zdrowi i dawali sobie radę, mimo bar-

dzo ciężkich warunków życia w Polsce. Żołnierz 2 Korpusu przyjmuje przyjeżdżających rodaków całym sercem. Zdaje sobie sprawę, przez jakie piekło ludzie ci przeszli, ile przecierpieli, potrafi też ocenić, czym jest dla nich taki powrót do wolności, powrót do szeregów wojska, do tego kawałka suwerennej Polski, jaka zamknięta jest w szeregach Korpusu. Ten sam zresztą żołnierz przechodził kiedyś podobne chwile, gdy z więzień, obozów koncentracyjnych i wygnania powracał na wolność i setkami kilometrów wędrował do obozów, w których nad zasypianymi śniegiem namio-

tami północny wiatr targał biało-czerwoną chorągiew.

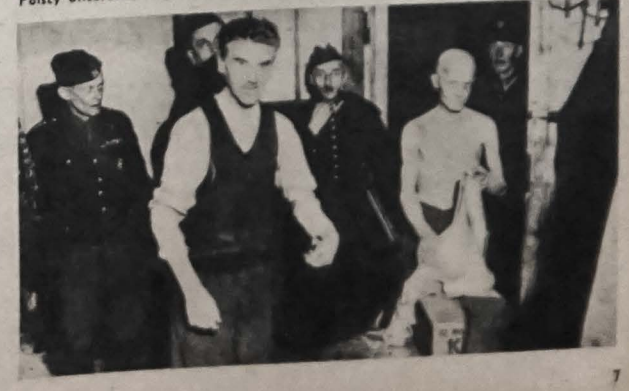
Ta sama chorągiew, powiewająca nad obozami powracającymi na wolność po sześciu latach niewoli naszych braci. I my i oni nie potrafimy i nie potrzebujemy ukrywać wzruszenia. Myślimy i czujemy dzisiaj jednakowo. Ogarają nas te same uczucia na myśl, że oto rosła i wzbięrają w siłę polskie szeregi, że w szeregu tych powrócimy już razem do Polski.

Do Polski takiej, jaką chcemy, jaką musimy mieć wszyscy: wolnej i szczęśliwej!

Sami gotowali pożywienie



Polscy oficerowie — jeńcy-zbieleci





Most nie-Bailey'a na jednej z rzek frontu delekowschodniego

W walce przeciw „Żółtym Niemcom”

Reportaż własny „Parady” - RYSZARD KRYGIER

Pojedynek Liberatora z japońskim kontrtorpedowcem



Wojna na Pacyfiku, to nie tylko starcie „sprzecznych imperializmów” lub innych systemów politycznych, nie walka ras — jak to Japończycy starali się udowodnić — ani starcie się dwóch potężnych systemów przemysłowych — jest to przede wszystkim walka niewolników z ludźmi wolnymi.

Wiele czytało się o tradycjach japońskich, o harakiri i samurajach. Tradycje te i dzisiaj tworzą logiczną całość. Żołnierz japoński jest wychowany w ślepym przekonaniu, że walka za cesarza jest największym jego przywilejem, każdy żołnierz po śmierci na polu chwały, otrzymuje awans pośmiertny o jeden lub dwa rzędy i dostaje się do niewoli, będzie w dalszym ciągu uważany za poległego i nie ma mowy o powrocie jego do kraju, czy rodziny.

Poziom większości żołnierzy japońskich jest rozpaczliwie niski, do tego stopnia, że często znaleźć można Japończyka przekonanego, że wojska japońskie okupują Florydę i Sydney, a każda nowina jak np. o zajęciu Manilli uważana jest przez japońskich za dowód „propagandy” sojuszniczej. Gdy jednak Japończyk przekonana się o sobie, że sojusznicy nie obcinają jej głów (co jest ulubionym tematem propagandy japońskiej), wtedy często następuje reakcja.

Znam jeden wypadek, gdy major — lekarz japoński po pewnym czasie zaczął wątpić, że po tej wojnie „Ameryka będzie wszędzie”.

Temu wrażeniu i ja często nie mogłem się oprzeć i dałbym mu się porwać zupełnie, gdyby z rozmów z dziesiątkami żołnierzy i oficerów armii amerykańskiej nie wynikało, że jedynym ich marzeniem był powrót do domu i życie w pokoju.

Prawdopodobnie nigdzie nie widać tak jaskrawo wielkich osiągnięć amerykańskich, jak właśnie w dzikiej dżungli podzwrotnikowej, na niezamieszkałych wy-

sepkach, czy wzdłuż niedostępnych brzegów Nowej Gwinei. Nigdzie chyba obliczenie odległości i wysiłku ludzkiego, potrzebnego dla przetransportowania oddziału wojska, założenia obozu, czy zbudowania lotniska lub bazy morskiej nie dało wyników tak zdumiewających swoim ogromem. Każda baza, którą zwiędziłem, zbudowana była przez Amerykanów z niczego. Nie było nawet najprymitywniejszych urządzeń i udogodnień, które znaleźć można nawet na pustyni libijskiej, czy w południowych Włoszech. Każda rzecz przewieźć trzeba było okrętami przez Pacyfik i wyładować na brzegu pozbawionym urządzeń portowych i przewieźć dalej w głąb kraju bez dróg. A przecież każda baza amerykańska miała bieżącą wodę, urządzenia kanalizacyjne, elektryczność i drogi — niektóre asfaltowe, wszystkie zaś odporne na uporzysze, tropikalne deszcze. W niektórych wypadkach trzeba było osuszać całe wyspy, w innych znosić wzgórza, budować setki mostów, zakładać instalacje łączności i to wszystko, co stanowi wyposażenie nowoczesnej armii. Jechałem dziesiątkami kilometrów wzdłuż składów sprzętu w miejscowościach, których jeszcze do niedawna nie było na mapie, kiedy indziej oglądałem porty zbudowane w kilka tygodni w Zatoce Nowej Gwinei lub lotniska na plażach i polach uprawnych. W niektórych bazach samoloty lądowały co minutę przez 24 godziny. W jakiejś zapadłej dziurze na Pacyfiku odkryłem skład ciekawostek, w którym było wszystko, co można było dodać do wyposażenia. Do tego należały także wszystkie możliwe udogodnienia dla żołnierzy, które stwarzały im stosunkowo znośne warunki życia, dając świadomość, iż ma rzeczy zbyt dobrej, której by im poskąpiono.

Żołnierz amerykański bije się dobrze, używając raczej broni maszynowej, podczas gdy „dziki” Australijczyk idzie na wojnę, nie licząc się z niczym. Opo- władają, że raz Amerykanie schwytali jeńca japońskiego i zapytali, kto jest najlepszym żołnierzem w dżungli.

— Australijczycy — odpowiedział jeńiec bez wahania.
— A potem? — padło pytanie.
— Japończycy.
— A my? — zniecierpliwili się Jankesi.
— O, wy nie! Wy likwidujecie dżunglę.

Po rewelacjach z niemieckich obozów, po udostępnieniu światu historii o męczeństwie milionów ludzi w Europie — trudno jest zdobyć się na zbyt wiele „świętego ognia” przy opisywaniu tego, co Japończycy robili z jeńcami i internowanymi obywatelami państw sprzymierzonych. Zabicie przez nich „zaledwie” kilku tysięcy jeńców przy cyfrach z Dachau czy z Oświęcimia mogłoby się wydawać swego rodzaju „humanitaryzmem” wschodnich barbarzyńców; ostatecznie jednak sam fakt, że wrogowie nasi zesłali na tak niski poziom barbarzyństwa, iż można go stopniować, wcale nie oznacza, że trzeba to traktować jako okoliczność łagodzącą.

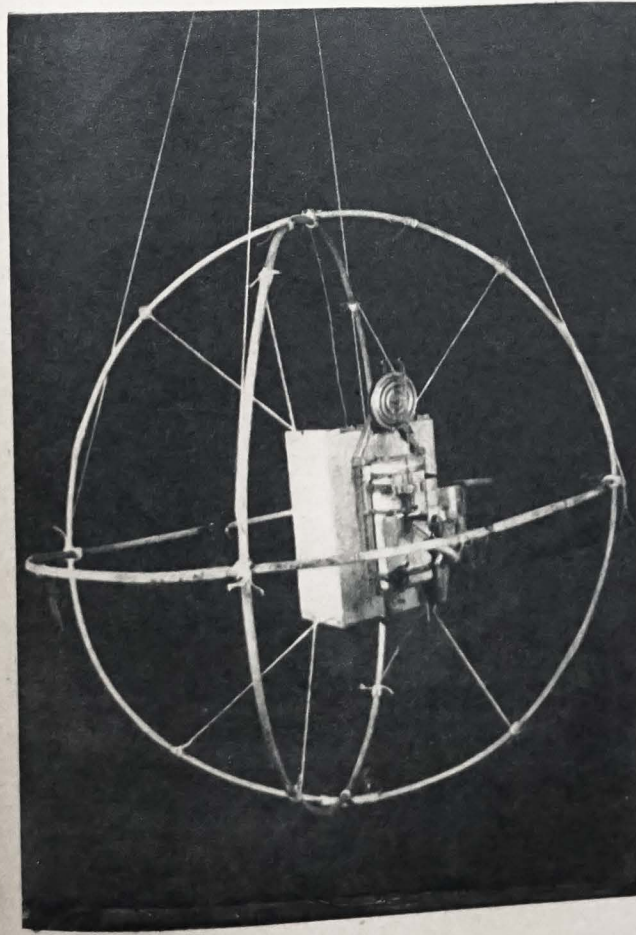
Zdając sobie z tego sprawę, począłem inaczej reagować na opowiadania jeńców Sprzymierzonych, którzy uratowali się z tonącego okrętu-więzienia, na którym zginęły setki Australijczyków, Anglików i Amerykanów jedynie dlatego, że japońscy oprawcy nie chcieli ich wypuścić na pokład tonącego okrętu. Lub o „marszu głodowym” amerykańskich i filipińskich jeńców z Bataanu, w czasie którego wielu padło, lub o ćwiczeniach walki na bagnety, przeprowadzanych z zapalem

samurajskim na wnętrznościach jeńców australijskich i ludności cywilnej, wrzeszczenie o tysiącach kobiet zamordowanych na ulicach Nankinu i Kantonu.

Po zdobyciu Manilli podążyłem do uwalnionego wówczas obozu na terenie Uniwersytetu Santo Tomas. Po skomunikowaniu się z wyzolonymi internowanymi Polakami zwiędziłem to niesamowite miejsce. Na terenie uniwersytetu mieściło się około 3700 więźniów cywilnych przez trzy lata. Racje żywnościowe były głodowe, to też śmierć miała doskonałe żniwo. Lekarze internowani mogli stwierdzać zgon, nie wolno im było jednak podawać jako przyczyny — głodu. „Synowie słońca” uprawiali zwykły proceder bicia i znęcania się nad jeńcami, bardziej podejrzanych przenoszono do więzienia w forcie San Diego, z którego nikt prawie nie wracał. Tyle o „normalnym” traktowaniu pobitych nieprzyjaciół przez zwyciężskich Japończyków. Gorzej stało się, gdy przestali zwyciężać, wtedy potrafili zakłuć bagnetami 70 dziewcząt i zakomic w klasztornej szkole De la Salle w Manilli, podpalić chińską dzielnicę miasta, uważając, by nikt z mieszkańców nie mógł się uratować. Szczytem hipokryzji było urządzenie przez władze japońskie ankiety wśród internowanych i pytanie, czy stosunek ich do internowanych nie jest lepszy od „prześladowań” ludności japońskiej przez władze amerykańsko-filipińskie w pierwszych miesiącach wojny.

Łądowanie na Mindanao — amerykańskie oddziały maszerują w głąb wyspy

Japońskie składy płynnego paliwa na Bolea — po bombardowaniu



SONDOWANIE NIEBA

W indyjskim Instytucie Meteorologicznym wyprodukowano aparat do badań meteorologicznych na dużych wysokościach.

„Radio-sonda”, jest to instrument o wadze nieprzekraczającej pół kilograma, połączony z balonikiem napelnionym wodorem. Wznosi się on na odpowiednią wysokość i za pomocą sygnałów radiowych określa ciśnienie, temperaturę i wilgotność powietrza. Sygnały radiowe notuje automatycznie aparat odbiorczy, umieszczony na powierzchni ziemi.

Dane uzyskane w ten sposób, przesyła się do stacji meteorologicznych, które na ich podstawie opracowują stan pogody i przewidują możliwe zmiany.

Wynalazek ten ma duże znaczenie nie tylko dla prac Instytutu Meteorologicznego, lecz przede wszystkim dla lotnictwa, ponieważ ułatwia i przyspiesza określenie warunków atmosferycznych na różnych wysokościach. Zasięg działania radio-sondy wynosi od 8 do 18 mil nad poziomem morza.



Sonda radiowa

Opuszczenie balonu radiosondy



Odpoczynek na kwietnej łące ↓



Warto pracować, w takim towarzystwie. ↓



Tłoczono w Zakł. Graf. AL-HILAL w Kairze dla Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.
Printed in Egypt by AL-HILAL, Cairo, for Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.



Zmiana opatrunku

WIOSNA W POLSKIM SZPITALU

Gdyby nie było siostry — któżby mu czytał... ↓



Niemieły zabieg — miłe ręce ↓



Str. 1 — W rzymskiej Akademii Sztuk Pięknych — fot. inż. W. Ostrowski
Str. 4 i 5: fot. Wojsk. Sekcja Film.-Fotogr.
Str. 6: fot. U. S. Office of War Inf.
Str. 7: fot. Światopól
Str. 8 i 9: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 10 i 11: fot. U. S. Off. of War Inf.
Str. 12 i 13: fot. H. Chruściel, K. Hryniewicz
Str. 14: fot. Lolo
Str. 15: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 16 — Wspomnienie z Iraku — fot. A. P. W.
Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI

"Frutti di mare" — owoce morza: ulubiony przysmak włoski, od Wenecji i Genui, wzdłuż całego wybrzeża, aż do Sytli. Kraby, krewetki, langusty, ośmiornicy, jakież robaczki i nieskończona ilość innych, "owoców morza" i konsumuje się je to są „zmałpszych postaciach. Jednym w najrozmaitszych rodzajów są „vongole” — małżki muszkielki mała o smaku le” — mała słona gumka, dodana do mianajakim, taka słona potrawa portowych karonu jest słynną potrawą portowych miast Italii — „vermicelli alle vongole”.

Polawia się je, albo raczej zbiera, brodząc po pływającej siatce, obciążonej metalowym nożem-plugiem. Wydziera się z piasku, wypłukuje się z piasku stery kamyczków z pewnym dodatkiem tych właśnie „vongole”. Po tym na brzegu trzeba przebrać i wybrać część jadalną. Dzień pracy i pod wieczór można uzyskać mały woreczek zdobyczy. Zajęcie proste, nieskomplikowane, ale w czasie wojny niepozabawione pewnego ryzyka. Zeszłego tygodnia Mario zdarzyło się owo „pu!” — Jeden zginął na miejscu — drugi stracił nogę.

Cudowne plaże włoskie jeszcze zeszłego roku były widownią walk desantowych i zjadłej obrony. Miały ich piasek kryje jeszcze nie jedną pułapkę minową. Wleczona po płytkiej wodzie siatka wyłapuje nieraz pocisk moździerzowy, który padając płasko na wodę nie eksplodował. Jeżeli nóż-plug siatki trafi na ostrze zapalnika, albo noga niefortunnego pescatorre zbyt gwałtownie otrze się o takie „frutti” — wtedy następuje owe „pu!” i połów kończy się tragedią.

Jak długo zatopione i zagrzebane w piasku pułki pociski będą jeszcze groźne? Któż to wie, materiał wojenny jest bardzo „solidny”...

„Frutti di mare” mają słony smak, smak morza. W szóstym roku wojny mają czasami również słony smak krwi.

Wiktor Ostrowski

Krewetki, kraby, muszkielki i... kamienie →

FRUTTI DI MARE



Powrót z połowu ↓

Do brzegu trzeba wlec siatkę ostrożnie ↓



Ta „ryba” nie jest już niebezpieczna ↓

Frutti di mare — 1945



